

## **Amerykanie i Niemcy – pamięć historyczna**

Czy warto się doszukiwać związków między doświadczeniem przeszłości we wzajemnych relacjach a ich stanem obecnym? Jak historia, pamięć o niej, a także ukształtowane w przeszłości stereotypy i mity, odnoszące się do narodów, ich przedstawicieli i politycznej praktyki, wpływają na prowadzoną politykę zagraniczną, a zwłaszcza kształt relacji bilateralnych? Są to pytania ważne, często stawiane i roztrząsane. Instrumentalizacja historii dla potrzeb bieżącej polityki nie jest bowiem zjawiskiem ani nowym, ani nieznanym. Co więcej, refleksja historyczna jest stale obecna, stanowi jeden z czynników polityki, w tym polityki zagranicznej. Problem ten dotyczy wielu narodów i państw, jednych bardziej, innych mniej. W większej skali historia dotyka kraje i społeczności bezpośrednio i wzajemnie w nią uwikłane, jak choćby doświadczenia Polaków związane z Niemcami, czy historyczne właśnie Francuzów i Niemców, Ukrainy i Rosji, wreszcie Polski i Rosji. Sąsiedztwo jest tutaj najczęstszym czynnikiem wpływającym na wzajemne doświadczenia.

Ale refleksja historyczna była i jest obecna także w pamięci zbiorowej narodów i społeczności pozbawionych geograficznego sąsiedztwa, a jednak jakoś wzajemnie powiązanych. Przecież w naszej pamięci nie można oddzielić historii Europy, zwłaszcza jej zachodniej części, od dziejów Stanów Zjednoczonych. Taka jest tożsamość Zachodu – dominującą rolę przez przynajmniej siedem ostatnich dekad odgrywały w niej Stany Zjednoczone. I na tej samej zasadzie przeszłość i pamięć o niej, lepsze i gorsze doświadczenia historyczne można dostrzec w relacjach amerykańsko-niemieckich. Pamięć historyczna, wyobrażenia i symbole kształtowane przez wydarzenia z przeszłości wpływały na bieżącą politykę czy to amerykańską, czy niemiecką. Przy różnych okazjach historia w stosunkach amerykańsko-niemieckich nie pozwalała o sobie zapomnieć.

Pierwsze z tych najbardziej dramatycznych doświadczeń Amerykanów i Niemców pochodzi z okresu I wojny światowej. Wcześniej Stany Zjednoczone, trzymając się zasady izolacjonizmu, pozostawały w dość luźnych kontaktach

politycznych z całą Europą. Zgodnie zresztą z przesłaniem prezydenta George'a Washingtona, który pytał retorycznie: „Po cóż wiązać nasz los z losem jakiegokolwiek części Europy, oddając nasz pokój i dobrobyt na pastwę europejskich ambicji, rywalizacji, interesów, humorów i kaprysów?”<sup>1</sup>. Nie zmienia to – rzecz jasna – faktu, że to Europejczycy budowali Stany Zjednoczone Ameryki. W tym amerykańskim „tyglu etnicznym” przybysze z Niemiec, choć nie zaliczano ich do tej najbardziej znaczącej grupy *White Anglo-Saxon Protestant (WASP)*, uważanej za trzon narodu amerykańskiego, to jednak zajmowali dość poczesne miejsce, opanowując handel, rzemiosło, a nawet lepiej płatne i prestiżowe zawody.

Po wybuchu Wielkiej Wojny w 1914 r. i pomimo apelu prezydenta Woodrowa Wilsona do rodaków, aby pozostali „neutralni zarówno w myślach, jak i działaniu”<sup>2</sup>, sympatie wśród Amerykanów były wyraźnie po stronie państw Ententy, czyli przede wszystkim Wielkiej Brytanii i Francji. Zdecydowały o tym nie tylko dość powszechne przekonanie o odpowiedzialności Rzeszy Niemieckiej za powstały konflikt wojenny, ale też silna propaganda brytyjska, odwołująca się do wspólnej tożsamości kulturowej i językowej. Jedynie w regionach, gdzie odsetek ludności pochodzenia niemieckiego (i irlandzkiego) był znaczny – rolnicze stany środkowe, dominowały nastroje sprzyjające państwom centralnym. Także pomoc amerykańska w formie kredytów czy artykułów wojskowych kierowana była głównie do państw Ententy, choć nie omijała Niemiec i ich sojuszników.

I jakkolwiek bezpośrednim powodem przystąpienia Ameryki do wojny w kwietniu 1917 r. była totalna wojna morską prowadzona przez Rzeszę Niemiecką, to jednak opowiedzenie się po stronie Wielkiej Brytanii oraz Francji i tak wydawało się emocjonalnie naturalne. Opinia publiczna czuła, kto i dlaczego jest przeciwnikiem USA. To Niemcy utożsamiano z imperializmem i militarystką zagrażającym porządkowi w Europie i bliskim Ameryce demokratycznym państwom. Nadchodzące do Waszyngtonu od połowy 1915 r. alarmistyczne wieści o bezwzględnej niemieckiej okupacji w Belgii – masowe egzekucje, konfiskaty mienia i żywności, przywołujące

---

<sup>1</sup> Washington's Farewell Address, 1796, *A Documentary History of the United States*, ed. by R. D. Heffner, New York 1976, s. 68.

<sup>2</sup> W. Wilson, *The New Democracy. Presidential Messages. Addresses and Other Papers (1913-1917)*, ed. by R. S. Baker, W. E. Dodd, vol. I, New York 1970, ss. 158.

symbole z odległej przeszłości, wzmocniły wśród Amerykanów nastroje antyniemieckie. Brutalny Hun gwałcący Belgię-dziewicę pojawił się na plakatach wojennych z podpisami „Remember Belgium” lub „Halt the Hun”, rozlepianych na ulicach amerykańskich miast.

Co ciekawe, te nastroje antyniemieckie zostały wykorzystane również w równoległe toczącej się wówczas w Stanach Zjednoczonych kampanii na rzecz prohibicji. Ponieważ społeczność niemieckiego pochodzenia postrzegana była jako potencjalny „koń trojański” Rzeszy, prohibicjoniści propagowali fakt, że spora część browarów i destylarni alkoholu należała do przedstawicieli tej grupy etnicznej. W myśl takiej propagandy, niemiecki właściciel browaru czy sieci barów rozpijał młodych Amerykanów, osłabiając morale społeczeństwa. Pojawiały się też informacje prasowe o finansowaniu przez browary proniemieckiej kampanii propagandowej w USA oraz aktywności organizacji typu *German-American Alliance*, uważanych powszechnie za rzecznika interesów Rzeszy Niemieckiej na gruncie amerykańskim. W jednym z wydanych wtedy pamfletów czytamy: „proniemieckość jest jedynie pianą rodem z niemieckich piwnych barów. (...) Kultura Kaisera opiera się na piwie. Trzeźwość stanie się zatem bombą, która rozsadzi kaizeryzm”<sup>3</sup>.

Doświadczenia z pola walki, dramatyczne i – z perspektywy amerykańskiej – porażające skalą (w działaniach zbrojnych zginęło 49 tys. Amerykanów, 63 tys. zmarło z powodu chorób, ponad 230 tys. odniosło rany; koszty wojny wraz z pomocą dla państw europejskich wyniosły blisko 22 mld dol.)<sup>4</sup>, głęboko wryły się w pamięć Amerykanów. To, co jednak zaskakuje, to fakt, że nie oznaczało to pogłębienia wrogości do Niemiec i Niemców. Niechęć znacznej części społeczeństwa amerykańskiego skierowała się raczej ku ich własnym przywódcom, odpowiedzialnym za wprowadzenie Stanów Zjednoczonych do wojny. Swoje zrobił izolacjonizm, głęboko tkwiący w świadomości przeciętnego Amerykanina - szary obywatel Stanów Zjednoczonych tak naprawdę nie rozumiał powodów przystąpienia do wojny, nie dostrzegał żadnych korzyści płynących z udziału w niej, a jedynie widział straty. Co więcej, pojawiające się w pracach historyków amerykańskich tezy głosiły, że

---

<sup>3</sup> Cyt. w: R. Schaffer, *America In the Great War. The Rise of the Welfare State*, New York, Oxford University Press 1991, s. 96-97.

<sup>4</sup> *Encyklopedia historii Stanów Zjednoczonych Ameryki*, Warszawa 1992, s. 353.

odpowiedzialność za wojnę spada nie tylko na Niemcy, ale też na inne państwa europejskie. A już na pewno to rządy państw Ententy wciągnęły Amerykę do wojny<sup>5</sup>.

Nie dziwi zatem to, że tak jak szybko w USA odżywały tendencje izolacjonistyczne, tak szybko wygasały nastroje antyniemieckie. Amerykanie pochodzenia niemieckiego coraz śmielej deklarowali swoje sympatie. Już w 1919 r. powstało *Steuben Society*, którego celem było wpływanie na amerykańską opinię publiczną i zmiana jej poglądów na temat Niemiec i genezy wojny. Takim działaniom towarzyszyły wysiłki władz niemieckich, które starały się różnymi kanałami: od kuszących perspektyw współpracy gospodarczej, poprzez kontrolowane przecieki z *Auswärtiges Amt*, aż po płomienne apele do narodu amerykańskiego, odwołujące się do jego poczucia sprawiedliwości, pozyskać Amerykę dla swoich celów.

A chodziło przede wszystkim o podpisanie ze Stanami Zjednoczonymi separatystycznego układu pokojowego, który – wobec odrzucenia przez Kongres w 1920 r. traktatu wersalskiego – regulowałby stosunki amerykańsko-niemieckie. Dla Berlina miało to ogromne znaczenie prestiżowe. Bo choć w powszechnej świadomości niemieckiej prezydent Wilson pozostał współodpowiedzialnym, jeśli nie inicjatorem „dyktatu wersalskiego” (po wkroczeniu Niemców do Poznania we wrześniu 1939 r. jednym z pierwszych aktów dewastacyjnych było usunięcie pomnika Wilsona z parku jego imienia), to jednak Stany Zjednoczone, poprzez jego odrzucenie i kwestionowanie niektórych zbyt ostrych wobec pokonanych Niemiec zapisów, stawały się wartym zabiegów potencjalnym sojusznikiem.

Zresztą normalizacją stosunków z Niemcami zainteresowane były także amerykańskie elity intelektualne, tradycyjnie pielęgnujące swe związki z kulturą i nauką niemiecką – zwłaszcza studiowanie w Niemczech było dość popularne, oraz sfery gospodarcze, liczące na otwarcie niemieckich rynków. Doświadczenie przeszłości, że jeszcze niedawno ich armie stały po przeciwnych stronach frontu, wobec spodziewanych wzajemnych korzyści gospodarczych czy politycznych, przestało mieć znaczenie w amerykańskiej i niemieckiej pamięci zbiorowej. Tym bardziej że Amerykanie rozczarowali się do swych dotychczasowych sojuszników,

---

<sup>5</sup> Tak pisali m.in.: L.S. Gannett, *The All Lied*, “The Nation” 1922, No 115; także A. J. Nock, *Myth of Guilty Nation*, New York 1922.

którzy odmawiali uregulowania długów zaciągniętych w bankach amerykańskich na potrzeby wojny, a później i odbudowy<sup>6</sup>. Szczególnie ostro protestowali Francuzi, nawet zdarzyło się, że manifestowali na ulicach Paryża, uważając, że wspólnota celów zwolniła ich z obowiązku spłaty zadłużenia, a roszczenia Ameryki są wyrazem jej egoizmu i chciwości.

Zmiana nastrojów wobec Niemiec zaowocowała nie tylko podpisaniem w 1921 r. traktatu pokojowego, ale też zaangażowaniem Stanów Zjednoczonych w poprawę kondycji gospodarczej Niemiec. Nie ma wątpliwości, że Amerykanie odegrali główną rolę w opracowaniu, a następnie realizacji planu Dawesa (podobnie jak późniejszego planu Younga), którego deklarowanym celem było umożliwienie Niemcom spłaty ich finansowych zobowiązań/reparacji wojennych, a *de facto* stanowił on czynnik pobudzający rozwój gospodarczy Niemiec. Warto dodać, że na realizację planu Dawesa amerykańskie banki przeznaczyły niebagatelną sumę 100 mln dol., co stanowiło połowę ustalonej pożyczki<sup>7</sup>. Była to zresztą realizacja koncepcji głoszonej przez czołowych amerykańskich polityków, którzy krytykując nieprzejednane stanowisko Francji wobec Niemiec, opowiadali się za umocnieniem państwa niemieckiego i zaakceptowaniem go jako pełnoprawnego partnera na arenie międzynarodowej. Politycy w Berlinie mieli tego pełną świadomość, zabiegając na tyle, na ile to było możliwe, o to życzliwe zainteresowanie Ameryki.

Trudno też zaprzeczyć, że do początku lat 30. w europejskiej polityce Stanów Zjednoczonych miejsce uprzywilejowane zajmowały Niemcy. Strona amerykańska zainteresowana była gospodarczym i politycznym rozwojem republiki weimarskiej – liczyła bardzo na umocnienie tam demokracji. Dlatego rozczarowaniem dla polityków amerykańskich były polityczne zmiany w Niemczech. Powołanie na urząd kanclerza w czerwcu 1932 r. Franza von Papena, który w 1915 r. – ze względu na prowadzoną w Waszyngtonie działalność szpiegowską - został uznany w Stanach Zjednoczonych za *persona non grata*, oceniono jako akt przynajmniej kontrowersyjny. W każdym razie sugerujący, że Niemcy nie są już specjalnie zainteresowane utrzymaniem dobrych stosunków z USA. W raportach ekspertów z Departamentu Stanu, oceniających

---

<sup>6</sup> Zob. szerzej: J. Kiwerska, *Spór Ameryki z Europą o długi wojenne i reparacje (1921-1932)*, „Dzieje Najnowsze” 2007,4, s. 17 i n.

<sup>7</sup> A. J. Toynbee, *Survey of International Affairs, 1924*, Oxford 1925-1934, s. 387.

politykę von Papena, odezwała się historia – pisano, że wiedzie ona do militarystyki czasów monarchii Hohenzollernów. Zaś sekretarz stanu Henry Stimson twierdził wprost: „Oto budzi się stary pruski duch”<sup>8</sup>.

Amerykański entuzjazm dla Niemiec osłabł jeszcze bardziej po dojściu do władzy Hitlera. Dwa miesiące później, w marcu 1933 r. do Białego Domu wprowadził się Franklin Delano Roosevelt. Pochłonięty walką z kryzysem gospodarczym, FDR polityce zagranicznej mógł poświęcić stosunkowo niewiele czasu, zresztą dominacja wśród Amerykanów nastrojów izolacjonistycznych ograniczała zaangażowanie, szczególnie na polu polityki europejskiej. Mimo to Niemcy zwracały uwagę prezydenta. Sam przyznawał, że od młodości spoglądał na Niemcy, które wówczas poznał, z dużo większą sympatią niż na Wielką Brytanię czy Francję (sic!). To jednak szybko się zmieniło.

Nominując na ambasadora w Berlinie profesora historii Williama E. Dodda, prezydent czynił to z jasno określonym celem. Dodd studiował w Lipsku, znał więc i nawet podziwiał naród niemiecki, ale też cenił wartości demokratyczne. „To trudna placówka – mówił FDR do nowo mianowanego ambasadora. Pańskie podejście jako przedstawiciela świata kultury powinno ułatwić Panu pracę. Chcę mieć w Niemczech amerykańskiego liberała, który byłby przykładem dla Niemców”<sup>9</sup>. Tak więc Dodd miał wspierać cenione przez Roosevelta wartościowe i umiarkowane elementy w narodzie niemieckim, przeciwstawiając się tym samym groźnym – antydemokratycznym i totalitarnym tendencjom hitlerowskiej Rzeszy.

To pełne troski podejście amerykańskiego prezydenta do Niemiec, kontrastowało ze stosunkiem Hitlera i jego oceną państwa amerykańskiego - kanclerz III Rzeszy nie miał wysokiego mniemania o Stanach Zjednoczonych, niemal je lekceważył. „Czym jest Ameryka? Przecież to jedynie milionerzy, królowe piękności, głupie płyty i Hollywood” – twierdził w rozmowie ze swym głównym konsultantem ds. amerykańskich Ernestem Hanfstaenglem, historykiem, wykształconym w Harvardzie, ale uważanym w kręgach amerykańskich za kłowna. Jaką wartość dla Hitlera, biorąc pod uwagę skrajnie rasistowski charakter narodowego socjalizmu,

---

<sup>8</sup> Henry L. Stimson Papers, Stimson Diary, 7.09.1932, Sterling Library, Yale University, New Haven.

<sup>9</sup> *Ambassador Dodd's Diary, 1933-1938*, ed. by W.E. Dodd (Jr), M. Dodd, London 1941, s. 17.

mogło mieć państwo amerykańskie, zdominowane – jak to mówił sam *Führer* – przez „żydowskich handlarzy i ciułaczy”<sup>10</sup> Bez wątpienia, Ameryka ze swoim *melting pot*, a zwłaszcza czarnoskórymi obywatelami nie spełniała nazistowskiego widzenia państwa i narodu. Jedyne, co budziło zainteresowanie kanclerza Rzeszy, to osiągnięcia amerykańskiej techniki i nauki oraz architektura. Prosił więc ambasadora w Waszyngtonie o przesłanie mu pocztówek z amerykańską architekturą, szczególnie monumentalnymi, klasycystycznymi obiektami w stolicy.

Tymczasem coraz silniejsze rozczarowanie odczuwał ambasador Dodd. Notował w swoim dzienniku: „Żał mi tych trzeźwiej myślących Niemców, którzy zupełnie dobrze orientują się w problemach międzynarodowych i chcieliby pracować dla dobra swego kraju, a muszą słuchać takich ignorantów, jak Hitler, Göring lub Goebbels”<sup>11</sup>. Wydawał się w tym bardzo wiarygodny, bo przecież nie był uprzedzony do narodu niemieckiego. Podobnie silne rozczarowanie Niemcami odczuwał prezydent Roosevelt. Polityka wewnętrzna III Rzeszy stanowiła zaprzeczenie jego wyobrażenia o kulturalnych i pragmatycznych Niemcach. Po „nocy kryształowej” w listopadzie 1938 r., gdy to dopuszczono się bezprecedensowych represji wobec Żydów, prezydent w wypowiedzi zamieszczonej na łamach „New York Timesa” stwierdził: „Nie mogę uwierzyć, że takie rzeczy mogą mieć miejsce w cywilizowanym świecie XX wieku”. Bezpośrednim efektem pogromu w Niemczech było obniżenie stosunków dyplomatycznych między Waszyngtonem a Berlinem do rangi *chargé d'affaires*.

Zresztą doniesienia o represjach antyżydowskich w III Rzeszy wywoływały poruszenie w całym niemal Stanach Zjednoczonych. Zwłaszcza Amerykanie pochodzenia żydowskiego oraz żydowskie organizacje starały się wpłynąć na administrację Roosevelta, aby ta interweniowała u władz III Rzeszy. Nośnikami nastrojów antyniemieckich byli także żydowscy emigranci, którzy uciekając przed prześladowaniami, przyjeżdżali masowo do Stanów Zjednoczonych – w latach 1933-41 przybyło ich około 100 tys. Dla Niemiec ich exodus oznaczał *brain drain* (wśród przybyłych byli m.in.: Thomas i Heinrich Mann, Albert Einstein, Hannah Arendt, Bertold Brecht, Max Reinhardt, a także kilkunastoletni Heinz Alfred Kissinger,

---

<sup>10</sup> E. Hanfstaengl, *Hitler, the Missing Years*, London 1957, s. 222; H. Rauschning, *Hitler Speaks*, London 1939, s. 76.

<sup>11</sup> *Dodd's Diary*, s. 84.

późniejszy amerykański sekretarz stanu), natomiast dla USA było to niewątpliwie wzbogacenie potencjału intelektualnego, skutkujące na polu amerykańskiej nauki i kultury.

Społeczność żydowska w Stanach Zjednoczonych była inicjatorem wielkiej kampanii protestu przeciwko nazistowskiej penetracji, którą próbowały rozwijać na ziemi amerykańskiej różne organizacje zrzeszające Amerykanów niemieckiego pochodzenia. Inspiracja dla propagandy nazistowskiej płynęła też z Niemiec kanałami dyplomatycznymi oraz poprzez *Deutsches Ausland-Institut*, którego głównym zadaniem było właśnie propagowanie idei nazizmu wśród Niemców za granicą. W efekcie organizacje quasi nazistowskie lub wręcz nazistowskie prowadziły w USA wyjątkowo aktywną i spektakularną działalność – hucznie obchodzono nie tylko niemieckie, ale i amerykańskie święta i rocznice, urządzano publiczne przemarsze i demonstracje, eksponując nazistowskie symbole, hasła i ideologię. Szeroka kampania protestu, prowadzona także w Kongresie oraz na łamach prasy, zaangażowanie w nią wielu czołowych polityków amerykańskich żydowskiego pochodzenia, wreszcie działania administracji federalnej wpłynęły decydująco na niepowodzenie penetracji nazistowskiej. Organizacje o charakterze nazistowskim albo delegalizowano, albo traciły one wpływy<sup>12</sup>.

Najbardziej jednak nastroje antyniemieckie potęgowały doniesienia o wzroście agresywnych tendencji w polityce zagranicznej III Rzeszy. Choć główną zasadą amerykańskiej strategii wobec Europy pozostał izolacjonizm, to jednak troską administracji Roosevelta było utrzymanie w Starym Świecie jako takiej stabilizacji. Tymczasem aspiracje i żądania Hitlera wiodły świat wyraźnie ku wojnie. Kolejne agresywne posunięcia Berlina wzmacniały niechęć do Niemiec. Po *Anschlussie* Austrii w marcu 1938 r. niemiecki ambasador Hans Dieckhoff pisał do Berlina o „niesamowitej reakcji prasy”, która rysuje obraz „pruskiego wilka szalejącego wśród austriackich owiec”. Z innych raportów dyplomatycznych wynikało, że niechęć do Niemców

---

<sup>12</sup> Zob. szerzej: J. Kiwerska, *Penetracja nazistowska w USA*, w: *Studia z najnowszej historii Niemiec i stosunków międzynarodowych*, pod red. S. Sierpowskiego, Poznań 1986, s. 365 i n.

osiągnęła w Stanach Zjednoczonych poziom, którego nie można było dostrzec nawet w okresie I wojny światowej<sup>13</sup>.

Ale ani *Anschluss*, ani kryzys czechosłowacki i Monachium nie okazały się wystarczającymi argumentami, aby przełamać nastroje izolacjonistyczne w Stanach Zjednoczonych. Raczej wykorzystywano je w publicznej debacie jako najlepsze przykłady bezlitosnej rzeczywistości Europy, o czym swego czasu mówił prezydent Washington i z którą Ameryka nie powinna mieć nic wspólnego. Przywoływano jako dowód doświadczenie z przeszłości - niepotrzebny udział Amerykanów w Wielkiej Wojnie (według sondażu z 1937 r. ponad 70 proc. Amerykanów uważało to za błąd)<sup>14</sup>. Do takich tez powrócono w kolejnych publikacjach, gdzie przyczyn zaangażowania USA w I wojnie światowej doszukiwano się w presji amerykańskich kół wojskowych i gospodarczych oraz naciskach brytyjskich<sup>15</sup>.

To nie ułatwiało sytuacji administracji Roosevelta. Z jednej strony chciała się ona włączyć w ratowanie pokoju na kontynencie europejskim, z drugiej zaś, krępowana zasadą izolacjonizmu, która dominowała w umysłach Amerykanów oraz określała granice przyzwolenia ze strony Kongresu, nie odważyła się na zaangażowanie w stopniu odpowiadającym powadze sytuacji. W obliczu narastającego zagrożenia wojennego w Europie administracja Roosevelta sięgała po środki perswazji – apelowała w notach i depeszach o negocjacje i kompromis. Wobec planów niemieckich, wykraczających daleko poza rewizję „dyktatu wersalskiego”, ta „dyplomacja apelowa” była z góry skazana na niepowodzenie. Zresztą Hitler, przekonany o dominacji izolacjonizmu i nauczony doświadczeniem, jak bardzo krępuje on działania administracji, mógł ignorować apele Roosevelta. Umiejętnie też dyskutował emocje izolacjonistów, gdy w pamiętnym przemówieniu, wygłoszonym w *Reichstagu* 28 kwietnia 1939 r., dowodził, że Stany Zjednoczone powinny się zajmować własnymi sprawami i nie ma potrzeby, aby interesowały się Starym Kontynentem.

---

<sup>13</sup> Documents on German Foreign Policy, Seria D, t. I, s. 696; J. Compton, *The Swastika and the Eagle*, London 1968, s. 57.

<sup>14</sup> Cyt. w: D. Middleton, *Retreat from Victory. A Critical Appraisal of American Foreign and Military Policy from 1920 to the 1970*, New York 1970, s. 16.

<sup>15</sup> Takie tezy pojawiły się w pracach: F.C. Hanighen, H.C. Engelbrecht, *Merchant of Death*, New York, 1934; W. Mills, *The Road to War: America 1914-1917*, Boston 1935; J.D. Squires, *British Propaganda at Home and in the United States from 1914 to 1917*, Cambridge (Mass.) 1935.

Mimo ostentacyjnego lekceważenia Ameryki przez wodza III Rzeszy, to po wybuchu wojny głównym założeniem niemieckiej propagandy prowadzonej w Stanach Zjednoczonych było wspieranie amerykańskiego izolacjonizmu - Hitler musiał sobie zdawać sprawę, że znaczący wpływ na przegraną Rzeszy Niemieckiej w 1918 r. miały USA i ich potencjał militarny, ludzki, finansowy. Dlatego w jego interesie leżało trzymanie amerykańskiej potęgi z dala od wojny. Wszelkie działania w tym kierunku koordynowała niemiecka ambasada z *chargé d'affaires* Hansem Thomsonem. Aktywne były również *German Library of Information*, działająca przy konsulacie w Nowym Jorku oraz *German Tourist Bureau* z siedzibą w Chicago i San Francisco. Dowodząc korzyści płynących z trzymania się izolacjonizmu, posługiwano się lekcją z historii *à rebours* - w kolportowanych przez te ośrodki materiałach propagowano tezę o odpowiedzialności Polski, Francji i Wielkiej Brytanii za wybuch wojny<sup>16</sup>. Miało to zniechęcić Amerykanów do powtórzenia błędu prezydenta Wilsona z 1916 r. i tym samym zapobiec włączeniu się Stanów Zjednoczonych od wojny.

Gdy jednak po ataku Niemiec na Polskę prezydent Roosevelt, podobnie jak Wilson ćwierć wieku wcześniej, ogłosił neutralność, uczynił to z jedną wyraźną różnicą: „Nie mogę prosić, aby każdy Amerykanin pozostał neutralny w myślach”<sup>17</sup>. Rzeczywiście, aż 80 proc. Amerykanów obarczyło Niemców odpowiedzialnością za wybuch wojny. Nie oznaczało to jednak zgody na udział Stanów Zjednoczonych w działaniach wojennych - jedynie 9 proc. ankietowanych popierało pomysł wysłania amerykańskich sił lądowych i morskich na pomoc Polsce, Francji i Wielkiej Brytanii<sup>18</sup>. Tych silnych nastrojów izolacjonistycznych znacząco nie osłabił ani upadek Francji, ani nawet próba podboju Wielkiej Brytanii. Dominowała natomiast pamięć o stratach z czasu I wojny światowej podtrzymywana przez zwolenników izolacjonizmu. Gdy na początku 1941 r. rozpoczęto w Kongresie prace nad ustawą *lend-lease*, umożliwiającą pomoc wojskową państwom alianckim, co groziło wciągnięciem Ameryki do wojny, w Waszyngtonie manifestowały matki i żony poległych na frontach Wielkiej Wojny żołnierzy amerykańskich. Efekt był taki, że

---

<sup>16</sup> J. Kiwerska, *Penetracja nazistowska w USA...*, s. 379.

<sup>17</sup> *The Public Papers and Addresses of Franklin D. Roosevelt*, ed. by S. J. Rosenman, , New York 1937-39, vol. VIII, s. 460-464.

<sup>18</sup> Cyt. w: J.S. Bruner, *Mandate from the People*, New York 1944, s. 231- 232.

jeszcze w listopadzie 1941 r. aż 63 proc. Amerykanów było przeciwnych przystąpieniu USA do wojny.

Pamięć historyczna, a zwłaszcza doświadczenie I wojny światowej spowodowało, że mimo ogromnej niechęci do Niemiec oraz sympatii dla ofiar niemieckiej agresji i niepokoju o losy siostrzanej Wielkiej Brytanii, społeczność amerykańska w swej zdecydowanej większości nie chciała przystąpienia Ameryki do wojny. Nauczony też doświadczeniem prezydenta Wilsona, który wbrew nastrojom znacznej części rodaków wysłał amerykańskich żołnierzy do Europy, a potem przegrał batalię w kraju, Roosevelt uczynił wiele, aby wojnę przybliżyć do granic Ameryki (np. wysyłanie uzbrojonych konwojów przewożących do Europy artykuły w ramach pomocy *lend-lease*). Nie zdecydował się jednak wystąpić do Kongresu z wnioskiem o wypowiedzenie Niemcom wojny. Było to swego rodzaju błogosławieństwem dla III Rzeszy, ale tragedią dla jej ofiar. W tej sytuacji to dopiero japoński atak na Pearl Harbor w grudniu 1941 r. oznaczał przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny. Ale to nie Ameryka, ale Niemcy wypowiedziały jej wojnę.

Nie ma wątpliwości, że II wojna światowa to najgorsze doświadczenie w relacjach amerykańsko-niemieckich. Podobną ocenę można odnieść do wielu narodów i społeczności Europy, okupowanej przez III Rzeszę lub z nią walczącej. Z taką jednak zasadniczą różnicą, że amerykańskie doświadczenie – podobnie jak było w I wojnie światowej – ma głównie charakter frontowy. Choć to żołnierze *US Army*, wyzwalając obozy koncentracyjne i miejsca zagłady, odkrywali najbardziej dramatyczne dowody ludobójczego charakteru nazizmu. Pochodzące stamtąd obrazy, eksponowane podczas procesów norymberskich, na długo pozostały w pamięci amerykańskich żołnierzy. Podobnie jak doświadczenie Holocaustu, które przetrwało w świadomości Amerykanów, zwłaszcza żydowskiego pochodzenia. Bo to w Stanach Zjednoczonych po wojnie zamieszkało wielu Żydów, którzy cudem uniknęli Holocaustu. Wśród nich byli Elie Wiesel, więzień Auschwitz, pisarz i przyszły laureat pokojowej Nagrody Nobla oraz Jerzy Kosiński, który także cudem uniknął Holocaustu.

Mimo że Stany Zjednoczone nie doświadczyły gehenny niemieckiej okupacji, to właśnie amerykański prezydent był autorem koncepcji „bezwarunkowej kapitulacji” Niemiec, wykorzystując formułę zastosowaną przez gen. Ulissesa S. Granta wobec

Południa, pokonanego w wojnie secesyjnej. Z kolei sekretarz skarbu Henry Morgenthau, najwyższy rangą amerykański Żyd w administracji Roosevelta, opracował w 1944 r. niezwykle drastyczny plan rozwiązania kwestii niemieckiej. Zakładał on - obok całkowitej demilitaryzacji Niemiec i likwidacji ich przemysłu ciężkiego - sterylizację mężczyzn<sup>19</sup>. Nie ma wątpliwości, Morgenthau w ten bezwzględny sposób reagował na docierające za Ocean informacje na temat eksterminacji Żydów.

Inne podejście prezentował amerykański Departament Stanu. Wynikało ono właśnie z doświadczeń przeszłości, gdy to – jak stwierdził sekretarz stanu Cordell Hull - upokorzone i ukarane po I wojnie światowej Niemcy stały się zarzewiem nowego, bezprecedensowego konfliktu. Dlatego rozwiązaniem kwestii niemieckiej powinno być uczynienie z Niemiec państwa demokratycznego, a podział terytorialny miałby charakter przejściowy. Ponieważ zamierzano traktować państwo niemieckie także jako ewentualną barierę przeciw wpływom radzieckim, dowodzą istnienia *iunctim* między przyzwoitym standardem życia w powojennych Niemczech, czyli stosunkowo łagodnymi karami, a ustanowieniem umiarkowanego rządu zdolnego przeciwstawić się wpływom komunistycznym<sup>20</sup>.

Prezydent Roosevelt, po pewnym okresie wahania, a nawet poparcia dla pomysłów swojego sekretarza skarbu – mówił do niego w sierpniu 1944 r.: „musimy albo wykastrować Niemców, albo traktować ich w taki sposób, że po prostu nie będą mogli płodzić ludzi, którzy chcieliby kontynuować to, co działo się w przeszłości”<sup>21</sup> – w końcu zgodził się z głównym kierunkiem myślenia Departamentu Stanu. Co więcej, opowiedział się przeciwko reparaansom w formie pieniężnej pomny doświadczeń sprzed ćwierćwiecza, gdy to obciążenia finansowe nałożone na pokonane Niemcy tylko komplikowały sytuację polityczną i ekonomiczną w Europie, a zwłaszcza radykalizowały nastroje społeczne w samych Niemczech.

Nie zmienia to jednak faktu, że Niemcy zostały ukarane – pozbawione części terytorium, podzielone na cztery strefy okupacyjne, poddane demilitaryzacji,

---

<sup>19</sup> Plan Morgenthaua cyt. za: J. M. Blum, *From the Morgenthau Diaries: Years of War, 1941-1945*, Boston 1967, s. 356-359.

<sup>20</sup> J. Kiwerska, *Niemcy w amerykańskiej dyplomacji czasu II wojny światowej*, w: *Niemcy w polityce międzynarodowej podczas II wojny światowej*, pod red. S. Sierpowskiego, Poznań 2007, s. 248.

<sup>21</sup> Cyt. w: H.L. Stimson, M. Bundy, *On Active Service in Peace and War*, New York 1947, s. 570.

denazyfikacji, demonopolizacji, a następnie w zachodnich strefach okupacyjnych - demokratyzacji. W żadnym momencie dyskusji nad przyszłością Niemiec nie zakładano przyjęcia zasady prezydenta Wilsona, który swego czasu, przepojony idealizmem, mówił o „pokoju bez zwycięzców i zwyciężonych”. Amerykanie chcieli ukarania Niemiec choćby po to, aby nie dopuścić do odrodzenia się ducha militarizmu i agresji. Ale wiązane z Niemcami polityczne plany amerykańskie, krystalizujące się wraz z narastającymi napięciami zimnowojennymi, nie tylko zmieniały notowania niedawnego wroga w kalkulacjach strategicznych Stanów Zjednoczonych, ale też budowały nowy obraz Ameryki w świadomości Niemców.

Można śmiało stwierdzić, że w okresie powojennym Stany Zjednoczone połączyły z Republiką Federalną Niemiec relacje wyjątkowe, wykazujące wprawdzie wyraźną asymetrię, jednak wzajemnie korzystne. Asymetria wynikała z faktu, że Niemcy były pokonanym i upokorzonym wrogiem, poddanym okupacji i kontroli czterech zwycięskich mocarstw. Najsilniejszym wśród nich były Stany Zjednoczone, zdolne dzięki temu decydować o przyszłości Niemiec, najpierw w odniesieniu do trzech zachodnich stref okupacyjnych, a następnie RFN. To był punkt wyjścia i najważniejszy czynnik kształtujący powojenne stosunki amerykańsko-niemieckie.

Gdy zaś idzie o korzyści, to dla kolejnych administracji amerykańskich – od Harry’ego Trumana po Ronalda Reagana - państwo zachodnioniemieckie stanowiło element generalnej strategii amerykańskiej wobec Europy – „podwójnego powstrzymywania”, czyli trzymania w szachu Związku Radzieckiego przez stawianie mu tamy w postaci RFN, ale też – i należy to podkreślić z całą mocą - trzymanie w szachu Bonn za pomocą integracyjnych struktur sojuszniczych. Wprawdzie Amerykanie, inicjując w 1949 r. powstanie Paktu Północnoatlantyckiego, myśleli głównie o ochronie przed ewentualną ekspansją radziecką. Jednak włączenie Niemiec Zachodnich do Sojuszu w 1955 r. miało dalej stanowić – w ich zamyśle – najlepsze zabezpieczenie przed reaktywacją zagrożenia niemieckiego (słynna formuła lorda Hastingsa Lionela Ismaya, pierwszego sekretarza generalnego NATO: *keep Russians out, Germans down and Americans in*). A zatem utrzymująca się słabsza rola Niemiec w Sojuszu wynikała w dużym stopniu z ich obciążenia historycznego.

W przypadku Niemiec Zachodnich korzyści wiązały się z faktem, że to Stanom Zjednoczonym zawdzięczały one odbudowę swej państwowości, zresztą w formie liberalnej demokracji, przygotowanej przez Amerykanów - Ustawa Zasadnicza była pisana niemalże pod ich „dyktando”. Następnie przy amerykańskim wsparciu i poręczeniu umacniano demokrację w Niemczech Zachodnich. To zza Oceanu nadeszła pomoc gospodarcza – Niemcy Zachodnie w ramach tylko planu Marshalla uzyskały wsparcie finansowe o wartości około 1,4 mld dol., a do tego dochodziły jeszcze inne formy amerykańskiej pomocy finansowej i materialnej. Przyczyniło się to w dużym stopniu do niemieckiego „cudu gospodarczego”. Liczyło się również psychologiczne i polityczne poparcie Waszyngtonu, jakże ważne dla pokonanego i wycieńczonego wojną narodu, zepchniętego na margines życia międzynarodowego. Wreszcie, to Stany Zjednoczone przez cały okres zimnej wojny gwarantowały bezpieczeństwo swemu sojusznikowi zachodnioniemieckiemu.

Trudno przecenić wpływ tych czynników na świadomość przeciętnego Niemca, zmagającego się z powojenną traumą i odbudowującego swoje życie w nowym państwie. Zwłaszcza dla młodych Niemców, szukających po totalnej klęsce w wojnie i upadku III Rzeszy nowej tożsamości, Ameryka stała się ważnym i cennym punktem odniesienia, niemal namiastką nowej ojczyzny. Uznanie i wdzięczność dla Stanów Zjednoczonych kształtowały dość powszechną między Renem a Łabą emocję proamerykańską. Podobnie jak po drugiej stronie Łaby emocje wywoływał Związek Radziecki i jego oddziaływanie na losy Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Odnosiło się to również do zachowań bońskich polityków, którzy starali się być lojalnym i spolegliwym partnerem Stanów Zjednoczonych. Zwłaszcza Konrad Adenauer, pierwszy kanclerz RFN, przywódca zachodnioniemieckiej chadecji, czując respekt i wdzięczność wobec amerykańskiego patrona, pilnie dbał o rzetelne realizowanie w polityce zagranicznej orientacji atlantyckiej. Podobnie działali kolejni kanclerze: Ludwig Erhard czy Kurt Georg Kiesinger, przekonani, że odpowiada to najlepiej niemieckim interesom. Problem pojawił się dopiero pod koniec lat 60-tych, gdy w ramach *Ostpolitik* rząd Willy’ego Brandta podjął bliski dialog ze Związkiem Radzieckim i Europą Wschodnią. Oceniając te działania, H. Kissinger odwoływał się do doświadczeń z historii: „Wydaje się, że nowa polityka wschodnia Brandta, która

dla wielu zdaje się być jakby polityką postępu w kwestii odprężenia, w rękach człowieka mniej skrupulatnego mogłaby przeobrazić się w nową formę klasycznego nacjonalizmu niemieckiego. Od Bismarcka po Rapallo istotą nacjonalistycznej polityki zagranicznej było swobodne manewrowanie między Wschodem a Zachodem. (...) Rodzi to podejrzenia wśród zachodnich sojuszników Niemiec co do ich wiarygodności jako partnera<sup>22</sup>. Między innymi z tego powodu *Ostpolitik* budziła w Waszyngtonie pewną nieufność.

Jednocześnie zmieniał się obraz Ameryki w niemieckim odbiorze społecznym. Proces ten rozpoczął się pod koniec lat 60-tych. Powodem było zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w Wietnamie, które nadwerżyło ich wiarygodność jako państwa uczestniczącego w słusznych wojnach. Dlatego niemiecka rewolta młodzieżowa '68 roku zyskała silnie antyamerykański charakter, a poparcie dla Wietnamczyków stało się jednym z głównych elementów wykrzykiwanych na ulicach haseł. Później, pod wpływem nowych czynników - przegranej Amerykanów w Wietnamie, afery Watergate, turbulencjach w amerykańskiej gospodarce, USA straciły swój modelowy wizerunek, kultywowany w czasach Adenauera czy Erharda. W świadomości przeciętnego Niemca zdawały się odchodzić w niepamięć zasługi Amerykanów w procesie budowy Republiki Federalnej, ich pomoc gospodarcza i skuteczna ochrona przed zagrożeniem ze Wschodu.

Zwłaszcza dla pokolenia urodzonego po wojnie, które nie pamiętało ówczesnego bezprecedensowego amerykańskiego wsparcia, ten fragment historycznego doświadczenia zdawał się nie mieć już znaczenia. USA stanowiły dla niego niemal przeciętny kraj. A przede wszystkim młodzi Niemcy nie czuli się zobowiązani do specjalnej wdzięczności. Rosła też liczba Niemców, którzy nie widzieli zasadniczej różnicy między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim. Dla nich oba te supermocarstwa były równie groźne dla bezpieczeństwa europejskiego. A nawet Ameryka wydawała się bardziej niebezpieczna, bo nakręcająca spiralę zbrojeń. Dlatego z ogromną siłą na początku lat 80. Niemcy

---

<sup>22</sup> Cyt. za: M. Mathiopoulos, *US – Präsidentschaft und die deutsche Frage In der Kanzlerschaft von Adenauer bis Kohl*, Aussenpolitik 1988, nr 4.

protestowali przeciwko instalowaniu amerykańskich rakiet średniego zasięgu na ich terytorium.

Ten coraz popularniejszy w Niemczech Zachodnich antyamerykanizm nie obejmował jeszcze politycznego establishmentu. Jakkolwiek politycy bońscy z coraz większą śmiałością dyskutowali na arenie międzynarodowej rosnącą potęgę gospodarczą Republiki Federalnej, to jednak pomni doświadczenia i powodowani pamięcią o przeszłości starali się być wierni atlantyckiej orientacji swej polityki. Szczególnie lojalny wobec administracji amerykańskiej był Helmut Kohl, narażając się tym samym na krytykę znacznej części niemieckiej opinii publicznej. Ale chadecki kanclerz jako jeden z ostatnich nosił w sobie to wyjątkowe poczucie wdzięczności za pozytywne doświadczenie z Ameryką czasu powojennego.

Z drugiej strony Kohl chciał w sposób symboliczny zamknąć pewne rozdziały najbardziej haniebnej przeszłości Niemiec, także tej w relacjach niemiecko-amerykańskich. Podczas wizyty w Republice Federalnej, w maju 1985 r., czyli w 40. rocznicę zakończenia wojny, prezydent Reagan, odpowiadając na prośbę Kohla, przybył do Bitburga, na cmentarz żołnierzy *Wehrmachtu*, poległych w czasie II wojny światowej i złożył tam kwiaty. Kontrowersyjność tego gestu polegała nie tylko na jego bezprecedensowym charakterze – oto prezydent amerykański oddaje hołd dawnym wrogom, problem tkwił i w tym, że na cmentarzu w Bitburgu znajdowały się również mogiły żołnierzy *Waffen SS*, doborowej formacji frontowej, uznanej przez Trybunał Norymberski za organizację zbrodniczą.

Gdy tylko informacja o planach wizyty w Bitburgu stała się publiczną, wywołała gwałtowny sprzeciw. Okazało się, że nawet 40 lat nie wymazało pamięci o tragicznych doświadczeniach wojny. Historia dopadła tych, którzy próbowali ją określić. Protestowały środowiska żydowskie, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i Niemczech. Amerykańscy Żydzi w liście skierowanym do prezydenta Reagana apelowali o rezygnację z wizyty na cmentarzu w Bitburgu. Z podobnym apelem zwrócił się do prezydenta Elie Wiesel, jako więzień KZ Auschwitz szczególnie uwrażliwiony na pamięć o niemieckich zbrodniach. Członkowie amerykańskiego Kongresu przypominali w publicznych wystąpieniach, że również w USA żyją rodziny oplakujące tysiące swych krewnych pomordowanych w hitlerowskich obozach

zagłady, zabitych przez żołnierzy SS. List adresowany do Reagana, w którym domagano się odstąpienia od wizyty w Bitburgu, podpisało 64 senatorów oraz 341 członków Izby Reprezentantów. W dzienniku „Washington Post” pisano, że rocznica zwycięstwa nad faszyzmem „nie jest jubileuszem ruchu nazistowskiego, ani niemieckiej armii, która biła się na jego rozkaz”<sup>23</sup>. Wyrażając swój protest, jeden z amerykańskich weteranów II wojny światowej odesłał swoje odznaczenia do Białego Domu.

Taka ostra reakcja Amerykanów mogła zaskoczyć. Choćby dlatego, że w Stanach Zjednoczonych utrzymywał się od dłuższego czasu proces swego rodzaju rozmywania lub wręcz zamazywania odpowiedzialności Niemców jako narodu za dramat II wojny światowej i dokonane wówczas zbrodnie, w tym Zagładę Żydów. Tak bowiem można ocenić coraz powszechniejszą, zwłaszcza w amerykańskich mediach, filmie, czy beletrystyce, tendencję zastępowania słowa Niemcy określeniem *Nazis* (naziści) jako odpowiedzialnych za całe zło lat 1939-1945. W świadomości Amerykanów utrwał się zatem przekaz, że to jacyś niezidentyfikowani narodowo *Nazis* doprowadzili do wybuchu wojny oraz dopuścili się masowych zbrodni i największego ludobójstwa w nowożytnych dziejach.

Efektom protestów, płynących także z innych państw europejskich, było dopisanie do programu pobytu Reagana w RFN wizyty w byłym obozie koncentracyjnym w Bergen-Belsen. Nie mogło to jednak osłabić wrażenia, że głównym punktem pozostało „pojednanie” na cmentarzu w Bitburgu. Była to cena, jakiej kanclerz Kohl oczekiwał od prezydenta Stanów Zjednoczonych w zamian za rolę oddanego adwokata amerykańskich interesów w Europie Zachodniej i pełnienie funkcji lojalnego sojusznika USA. Mimo bezprecedensowej fali krytyki w Ameryce i nie mniejszej fali zakłopotania w Republice Federalnej, kanclerz Kohl osiągnął swój cel i prezydent Reagan, składając kwiaty na cmentarzu w Bitburgu, dokonał symbolicznego gestu pojednania i – jak pisano – być może zapomnienia<sup>24</sup>.

Niewątpliwie, był to akt adresowany do Niemców, bo choć nie znalazł on poparcia wśród polityków opozycji, to zdecydowana większość społeczeństwa

---

<sup>23</sup> R. Cohen, *What, Exactly, Is Reagan Honoring?*, „The Washington Post” 16 IV 1985.

<sup>24</sup> L. Gardner Feldman, *Germany's Foreign Policy of Reconciliation. From Enmity to Amity*, Lanham 2012, s. 40.

niemieckiego uważała, że 40 lat pozostawania pod prężeniem światowej opinii publicznej wystarczy. Konsekwencje takiego myślenia budziły obawy. Arthur Burns, ówczesny ambasador amerykański w Bonn pisał, że „wszelkie próby wypracowania własnej historii po to, aby odnaleźć swe miejsce w świecie, będzie obciążone skazą, jeśli tylko wywołają najmniejsze wrażenie, że Niemcy chcą zrzucić z siebie odpowiedzialność”. A Niemcy – podkreślał Burns – muszą w dalszym ciągu ponosić „wielką odpowiedzialność historyczną za Holocaust”<sup>25</sup>.

Przeszłość towarzyszyła też w szczególny sposób procesowi zjednoczenia Niemiec. Zresztą runięcie muru berlińskiego w listopadzie 1989 r. i odbudowa jednej państwowości niemieckiej rok później oznaczała przekreślenie najbardziej dokuczliwych dla Niemiec skutków II wojny światowej. Jednak zanim się to stało, wielokrotnie przywoływano doświadczenia z przeszłości. Choćby w momencie, gdy dyskutowano o statusie militarnym zjednoczonych Niemiec. Kwestia ta szczególnie absorbowwała uwagę Waszyngtonu, który był zainteresowany tym, aby Niemcy pozostały w NATO. Uważano, że jest to zarówno w interesie bezpieczeństwa europejskiego, jak i zgodne z amerykańską strategią. Poza tym Pakt Północnoatlantycki zapewniał najlepszy mechanizm kontrolowania i hamowania ewentualnych ambicji militarnych nowej Republiki Federalnej. Ekspertcy amerykańscy zgodnie twierdzili, że zjednoczonych Niemiec nie można pozostawić ani samych, ani izolowanych, ani choćby tylko neutralnych. Jako paralelę historyczną przywoływano okres po I wojnie światowej, gdy to właściwie bez kontroli pozostawiono zdemilitaryzowane Niemcy w środku Europy. W praktyce zostały też zneutralizowane. Mimo to Hitler mniej lub bardziej jawnie je uzbroił i świat pamięta, czym to się skończyło – pisano na łamach „International Herald Tribune”<sup>26</sup>. Zresztą podobnymi argumentami posługiwała się polska dyplomacja, popierając koncepcję utrzymania nowych Niemiec w NATO<sup>27</sup>.

Historia dała o sobie znać także w kontekście granic zjednoczonych Niemiec. Perspektywa, że nowe i - siłą rzeczy - potężniejsze Niemcy, mogłyby jeszcze odzyskać

---

<sup>25</sup> A. Burns, w: „Die Zeit” z 15.11.1986.

<sup>26</sup> „The International Herald Tribune” z 27.02.1990.

<sup>27</sup> Wywiad K. Skubiszewskiego dla „La Vanguardia” z 28.03.1990; zob. też K. Malinowski, *Polityka republiki Federalnej Niemiec wobec Polski w latach 1982-1991*, Poznań 1997, s. 264-266.

swe przedwojenne obszary, napawały niepokojem nie tylko Warszawę, ale i inne stolice europejskie. Rząd Tadeusza Mazowieckiego, nie chcąc powtórzenia się sytuacji z przeszłości, gdy to o sprawach bezpośrednio dotyczących Polaków rozmawiano ponad ich głowami, czy to w Teheranie, Jałcie, czy Poczdamie, podjął ofensywę dyplomatyczną. Chodziło o dopuszczenie Polski do negocjacji w sprawie zjednoczenia Niemiec (rozmowy „2+4”) po to, aby uzyskać trwałe i ostateczne potwierdzenie granicy polsko-niemieckiej. Lobbując w Waszyngtonie na rzecz udziału Polski w rozmowach „2+4”, premier Mazowiecki odwoływał się do historii. Dowodził, że Polacy mają prawo żądać ostatecznego uregulowania kwestii granic na mocy decyzji międzynarodowych i z ich udziałem, aby nie było znowu poczucia nadania im Ziem Zachodnich „z łaski Stalina”, jak to się stało w Jałcie, czy Poczdamie<sup>28</sup>. Argument był na tyle sugestywny, że prezydent George H. W. Bush poparł żądania Polski i w tej kwestii zachował godną odnotowania konsekwentną postawę.

Formuła zjednoczenia, w której nowe Niemcy przejęły sojusznicze powiązania dawnej republiki bońskiej, a u władzy pozostały elity ukształtowane w warunkach zachodnioniemieckich, przywiązane do świata Zachodu, wydawała się gwarantować rozsądną politykę zagraniczną. Byłaby to kontynuacja Adenauerowskiej strategii utrzymywania ścisłych powiązań z demokracjami zachodnimi, w tym przede wszystkim ze Stanami Zjednoczonymi. Z drugiej strony trudno było nie dostrzec nowych czynników wpływających na politykę zagraniczną zjednoczonych Niemiec, które wreszcie stały się suwerenne i normalne, czyli pozbawione kontroli państw trzecich. Mogły teraz prowadzić, tak jak inne kraje demokratyczne, normalną działalność zagraniczną. Należało się zatem spodziewać zwiększonej aktywności na arenie międzynarodowej, śmielszego artykułowania własnych interesów i celów, a także odchodzenia od poczucia odpowiedzialności za przeszłość i co się z tym wiąże – wdzięczności wobec tych, którzy w trudnym momencie udzielili Niemcom gospodarczego, politycznego i moralnego wsparcia.

Póki jednak kanclerzem pozostawał Kohl, generacyjnie przywiązany do dobrej pamięci o Stanach Zjednoczonych i ich roli w budowaniu powojennych Niemiec, te

---

<sup>28</sup> J. Kiwerska, *Międzynarodowe uwarunkowania zjednoczenia Niemiec*, w: *Zjednoczenie Niemiec. Studia politologiczno-ekonomiczno-prawne*, pod red. L. Janickiego, B. Koszela, W. Wilczyńskiego, Poznań 1996, s. 122-130.

nowe wyznaczniki nie wpłynęły zasadniczo na charakter relacji amerykańsko-niemieckich. Dominowała zasada, którą Kohl w obecności prezydenta Billa Clintona wyraził następująco: „My Niemcy wiemy, że nasze bezpieczeństwo i możliwości naszej polityki zagranicznej zależą od tego, czy będziemy niezawodnymi partnerami i czy nasi sojusznicy będą mieli do nas zaufanie”<sup>29</sup>.

Ta lojalność wobec niedawnego amerykańskiego patrona nie zakładała jednak odejścia od zasady tzw. *Zivilmacht* - unikania zaangażowania wojskowego Niemiec w rejonach kryzysowych. Miało to gwarantować, że Niemcy nie powtórzą tego, co uczynili w przeszłości, realizując agresywną, ekspansjonistyczną politykę. Paradoksalnie, unikanie tego, co mogłoby przywoływać skojarzenia z haniebną przeszłością Niemiec, nie do końca było akceptowane przez Stany Zjednoczone, które w pozimnowojennych warunkach oczekiwały większego wsparcia ze strony nowej Republiki Federalnej. Dlatego z zadowoleniem prezydent Clinton przyjął orzeczenie niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego z 1994 r. o zgodności z Ustawą Zasadniczą udziału Bundeswehry w operacjach zbrojnych poza obszarem Niemiec i NATO. A odpowiadając na wyrażane tu i ówdzie w Europie obawy, że może dojść do wskrzeszenia „dawnych demonów”, amerykański prezydent zapewniał, że czuje się on „całkowicie spokojny”<sup>30</sup>. Dla niego pozbycie się przez Niemcy kolejnych ograniczeń nałożonych nań po II wojnie światowej było już czymś naturalnym.

Gdy we wrześniu 1998 r. wybory do Bundestagu wyłoniły nową ekipę rządzącą, było to równoznaczne z dojściem do władzy zupełnie innego pokolenia polityków. Gerhard Schröder z SPD był pierwszym kanclerzem Niemiec urodzonym u kresu II wojny światowej, a więc pozbawionym tego wyjątkowego doświadczenia amerykańskiej obecności powojennej, którą posiadali dotychczasowi przywódcy Republiki Federalnej. To doświadczenie nie tylko do czegoś zobowiązywało wobec USA, ale też stawiało jako nadrzędny cel uzyskanie wiarygodności i opinii stałego w przekonaniach. Także nowy szef dyplomacji Joschka Fischer z partii Zielonych był przedstawicielem powojennego pokolenia, a swą aktywność polityczną rozpoczynał w

---

<sup>29</sup> Cyt. w: „The Wall Street Journal” z 13.07.1994.

<sup>30</sup> Tamże.

latach 60. jako uczestnik rewolty młodzieżowej prowadzonej m.in. pod antyamerykańskimi hasłami.

Niewątpliwie, czynnik zmiany generacyjnej w niemieckiej klasie politycznej miał duży wpływ na relacje ze Stanami Zjednoczonymi i przyczynił się do kryzysu we wzajemnych stosunkach. Nie negując odpowiedzialności administracji George'a W. Busha, która realizując po 11 września 2001 r. swą koncepcję wojny z terroryzmem, doprowadziła do turbulencji na arenie międzynarodowej i napięć w relacjach z Berlinem, to jednak mogło zaskoczyć zachowanie niektórych czołowych polityków rządzącej koalicji SPD-Zieloni, którzy ten spór na linii Berlin-Waszyngton zdecydowanie zaognili. Wprawdzie należy uznać trafność wielu argumentów Berlina, który nie akceptował „doktryny Busha”, przyzwalającej na działanie siłowe, unilateralne i wyprzedzające, to ostra reakcja na zapowiadaną przez Waszyngton interwencję w Iraku, a nawet przystąpienie do konfrontacyjnego wobec Ameryki „frontu odmowy”, budowanego przez Paryż i Moskwę (sic!), było czymś bezprecedensowym. Oznaczało, że pod rządami Schrödera i Fischera, reprezentantów pokolenia uformowanego całkowicie w warunkach powojennej demokracji i antyamerykańskich protestów '68 roku, nastąpiło zdyskontowanie nowej rangi Niemiec, państwa w pełni suwerennego i normalnego. Takie Niemcy mogą przyjmować asertywną, a nawet konfrontacyjną postawę wobec Stanów Zjednoczonych. Pamięć historyczna w tym aspekcie przestała odgrywać rolę.

Miała ona jednak znaczenie w tym sensie, że Niemcy, nauczeni doświadczeniem II wojny i dlatego wychowani w duchu *Zivilmacht*, nie byli w stanie zaakceptować amerykańskiej koncepcji roli siły w polityce i wizji siłowych rozwiązań problemów międzynarodowych. Gdy więc amerykański prezydent przybył do Republiki Federalnej w maju 2002 r., kilkaset tysięcy Niemców protestowało na ulicach miast przeciwko wizycie „podżegacza wojennego”. Pojawiły się plakaty, na których widniał wizerunek Busha na tle płonących wież *World Trade Center*, a obok postać Hitlera z palącym się za plecami *Reichstagem*. Jakże wymowne historycznie były to obrazki.

Historia powróciła raz jeszcze przed wyborami do Bundestagu, na jesieni 2002 r., gdy to minister sprawiedliwości Herta Däubler-Gmelin z SPD w końcówce zaciętej

kampanii wyborczej przyrównała polityczne metody Busha do taktyki Hitlera – prezydent amerykański usiłuje odwrócić uwagę Amerykanów od problemów gospodarczych i społecznych, forsując przygotowania do wojny z Irakiem. „To popularna metoda. Stosował ją już Hitler” – miała powiedzieć minister rządu niemieckiego<sup>31</sup>. Zestawienie amerykańskiego prezydenta z Hitlerem, kimkolwiek by gospodarz Białego Domu nie był i cokolwiek nie uczynił, było wysoce niestosowne, wręcz oburzające. Zwłaszcza w ustach przedstawiciela rządu niemieckiego. Bush czuł się osobiście dotknięty wypowiedzią pani minister i brakiem jednoznacznej reakcji ze strony kanclerza Schrödera. Dymisji nie było, padały natomiast inne wypowiedzi, wprawdzie nie tak drastyczne, jednak dowodzące, że rządząca koalicja SPD-Zieloni gra kartą antyamerykańską, aby wpisać się w powszechnie panujące między Renem a Odrą nastroje (blisko 3/4 pytanym Niemców uważało, że Ameryka za bardzo miesza się w sprawy innych krajów; ponad połowa – negatywnie oceniała politykę Busha)<sup>32</sup>. Przyniosło to wprawdzie zwycięstwo wyborcze koalicji SPD-Zieloni, ale spowodowało największy kryzys w stosunkach amerykańsko-niemieckich. Przedstawiciele administracji Busha nazwali je „stosunkami zatrutymi” (*poisoned relations*). Zaś amerykańska opinia publiczna postawę Niemców uznała za dowód niewdzięczności – to przecież Ameryce tak wiele Niemcy, podobnie jak cała Europa Zachodnia, zawdzięczali. W licznych komentarzach przywoływano czas powojenny i przypominano skalę amerykańskiej pomocy dla Niemiec.

Tymczasem to wejście Berlina w ostry spór ze Stanami Zjednoczonymi, jego najważniejszym sojusznikiem, zdawało się większości Niemców odpowiadać, a wyniki wyborów były tego najlepszym potwierdzeniem – zanim politycy koalicji rządowej nie uderzyli w ton antyamerykanizmu, SPD przegrywała z chadecją o blisko 10 punktów procentowych. Jedynie niektórzy niemieccy obserwatorzy byli tą sytuacją zaniepokojeni - Christoph von Marshall, znany dziennikarz i komentator twierdził: „Wniosek dla Niemiec z historii brzmi: Niemcy nie powinni postępować inaczej niż mocarstwa europejskie. Niemcy nie mogą sobie jeszcze pozwolić na to, żeby mając

---

<sup>31</sup> Kontrowersyjna wypowiedź minister Däubler-Gmelin została przytoczona przez „Schwäbisches Tagblatt” z 20.09.2002.

<sup>32</sup> Cyt.w: S. Berg, R. Beste u.a., *Das beschädigte Paradies*, „Der Spiegel” z 18.05.2002.

trochę racji, występować przeciwko partnerom”<sup>33</sup>. Pozostało też pytanie, czy ta niezależna od Ameryki, a nawet konfrontacyjna wobec niej postawa Niemiec nie wywoła zaniepokojenia w Europie. Czy nie powrócą obawy o wiarygodność Berlina i jego odpowiedzialność? Czy może nie zwiastuje to wskrzeszenia „dawnych demonów”?

Zwłaszcza Polska wydawała się zaniepokojona postawą Berlina, słusznie zakładając, że dobre relacje amerykańsko-niemieckie są znacznie lepsze dla jej bezpieczeństwa, niż „front odmowy” tworzony przez Niemcy we współpracy z Rosją. Choć więc pokusa dyskutowania dla własnych interesów osłabienia rangi Niemiec w polityce amerykańskiej była duża i przez jakiś czas wpływała na zachowanie Warszawy, to jednak *summa summarum* korzystniejszy dla Polski był powrót do normalności w relacjach amerykańsko-niemieckich, gdyż służyło to sojuszowi transatlantyckiemu, gwarantowi naszego bezpieczeństwa. Ponadto w polskiej pamięci historycznej takie wydarzenia, jak Rapallo czy układ Mołotow-Ribbentrop nadal funkcjonowały niczym symbole tego, do czego może prowadzić zbratanie się Niemców z Rosją. Choćby więc ze względu na doświadczenia z przeszłości Warszawa musiała być żywotnie zainteresowana odbudową solidnej i wiarygodnej współpracy transatlantyckiej, a w jej ramach dobrych relacji na linii Waszyngton-Berlin.

Rzeczywisty powrót do normalności w stosunkach amerykańsko-niemieckich nastąpił jednak dopiero po zmianie ekipy rządowej w Republice Federalnej. Wybory do Bundestagu w 2005 r. wygrała (nieznacznie) chadecja i kanclerzem została Angela Merkel. Reprezentowała ona trzecie pokolenie powojenne Niemców – niezwiązane emocjonalnie z proamerykanizmem lat 50. i 60., jak pokolenie Kohla, ale też nieukształtowane przez namiętności ‘68 roku, w tym silnego antyamerykanizmu, jak było w przypadku Schrödera i Fischera. Nowa kanclerz urodziła się i wychowała w komunistycznych Niemczech Wschodnich, w rodzinie protestanckiego pastora i dla niej Ameryka była bardziej symbolem nadziei niż zagrożenia. Dlatego zależało jej na odbudowie partnerstwa i przywróceniu Republice Federalnej rangi wiarygodnego sojusznika Stanów Zjednoczonych. I jakkolwiek nie udało jej się przełamać niechęci

---

<sup>33</sup> Wywiad A. Rubinowicz z Christopherem von Marshalllem w: „Gazeta Wyborcza” z 9.09.2002.

Niemców do Busha i jego polityki, to jednak zdołała przywrócić harmonię w relacjach z Waszyngtonem.

Lojalność wobec republikańskiej administracji spowodowała nawet, że Merkel nie zgodziła się na wystąpienie przed Bramą Brandenburską, w lipcu 2008 r., kandydata Partii Demokratycznej do prezydentury - Baracka Obamy. Znając siłę symbolu, jaką zarówno dla amerykańskiej, jak i niemieckiej pamięci historycznej stanowi *Brandenburger Tor* – wszak stąd prezydent John F. Kennedy w 1963 r. kierował deklaracją: „Ich bin ein Berliner”, która była wyrazem wsparcia ze strony Ameryki dla mieszkańców podzielonego Berlina i stąd w 1987 r. Reagan wołał: „Panie Gorbaczow, niech Pan zburzy ten mur”, co miało niemalże profetyczne przesłanie – kanclerz Merkel nie chciała dawać specjalnych forów Obamie. Niewątpliwie, wykorzystałby on to wyjątkowe miejsce, aby kreować się na lidera równego rangą Kennedy’emu czy Reaganowi.

Mimo tego afrontu, Obama już jako prezydent okazał niemieckiej kanclerz wiele rewerencji, w ten sposób doceniając potencjał i możliwości Niemiec jako ważnego gracza na arenie międzynarodowej. Już w listopadzie 2009 r. Merkel wystąpiła przed połączonymi izbami Kongresu. Wcześniej na Kapitolu tylko jeden szef rządu niemieckiego dostąpił tego wyjątkowego zaszczytu – był nim w 1957 r. Adenauer, „ojciec powojennych Niemiec” i twórca orientacji atlantyckiej w niemieckiej polityce zagranicznej. Chociaż głównym przesłaniem wystąpienia Merkel była wizja współpracy amerykańsko-europejskiej w obliczu wyzwań XXI wieku, to jednak Amerykanom miło było słyszeć, że Niemcy nigdy nie zapomną wsparcia, jakiego przez niemal pół wieku udzielały im Stany Zjednoczone („Niemals werden wir Ihnen das vergessen”). Następnie niemiecka kanclerz przywołała najbardziej znamienne i niemal symboliczne przykłady tej amerykańskiej pomocy – od słynnego mostu powietrznego w latach 1948-49, który pozwolił berlińczykom z zachodniej części przetrwać blokadę miasta zarządzaną przez Rosjan, po gwarancje bezpieczeństwa konsekwentnie udzielane przez USA<sup>34</sup>. Poświęcając tak wiele miejsca

---

<sup>34</sup> Speech by Federal Chancellor Angela Merkel before the United States Congress, 3.11.2009, [www.bundesregierung.de/Content/EN/Reden/2009/2009-11-03-merkel-usa-kon](http://www.bundesregierung.de/Content/EN/Reden/2009/2009-11-03-merkel-usa-kon).

refleksji historycznej, Merkel potwierdziła, że doświadczenia powojenne i pamięć o nich stanowią fundament stosunków amerykańsko-niemieckich.

Także prezydent Obama miał wyjątkową okazję, aby odwołać się do historycznego symbolu. Taki bowiem charakter miało jego wystąpienie przed Bramą Brandenburską w czerwcu 2013 r. I to nie tylko dlatego, że przypominało o niefortunnym epizodzie z lipca 2008 r. Przede wszystkim sytuacja była wyjątkowa – mijalo właśnie 50 lat od pamiętnej mowy Kennedy’ego – „Ich bin ein Berliner”. Tyle tylko, że teraz Obama przemawiał po wschodniej stronie symbolicznej budowli i dlatego odwoływał się do wolnościowego ducha mieszkańców NRD, jednego z ważnych czynników ponownego zjednoczenia Niemiec. Tym razem jednak przemówienie amerykańskiego prezydenta nie przeszło do historii ani jako znaczące dla stosunków amerykańsko-niemieckich, ani przełomowe dla świata. Było jedynie repetycją wcześniejszego apelu Obamy o denuklearyzację świata, teraz nieco bardziej skonkretyzowaną. Ale propozycja pod adresem Rosji o dalszą redukcję arsenałów nuklearnych, w tym głowic o 1/3, okazała się zaledwie retoryką, gdyż nie znalazła odzewu w Moskwie.

Nie będzie zresztą przesady w stwierdzeniu, że prezydent Obama wydawał się być najmniej spośród dotychczasowych przywódców amerykańskich przywiązany do pamięci historycznej odnoszącej się do relacji czy to z Niemcami, czy całą Europą. Przyczyn było kilka, w tym słabsza więź emocjonalna pierwszego czarnoskórego gospodarza Białego Domu ze Starym Światem, o czym decydowało jego pochodzenie - ojciec z Czarnej Afryki, dzieciństwo spędzone z dala od kontynentu północnoamerykańskiego, w Azji i na Hawajach, czyli w kulturze zupełnie innej niż anglosaska. Ponadto również Obama był przedstawicielem tej generacji polityków, która nie pamiętała już okresu zimnowojennego, tak istotnego dla budowania wspólnoty transatlantyckiej, a zwłaszcza umacniania więzi z Niemcami.

Wymowna była więc nieobecność Obamy w Berlinie, 9 listopada 2009 r., na obchodach 20. rocznicy obalenia muru berlińskiego, symbolizującego koniec zimnej wojny i początek procesu zjednoczenia Niemiec. W sytuacji, gdy do stolicy Niemiec zjechali się wszyscy przywódcy państw europejskich, substytucja amerykańskiej sekretarz stanu Hillary Clinton była swego rodzaju afrontem. Dowodziła

niezrozumienia przez Obamę wagi tego historycznego wydarzenia dla Niemiec, Europy, a nawet Stanów Zjednoczonych. Wprawdzie nie wpłynęło to na stan stosunków amerykańsko-niemieckich, jednak pokazało owo pozbawione emocji podejście Obamy do Niemiec/Europy i doświadczeń z przeszłości.

Prezydenta Obamę charakteryzował natomiast niezwykle pragmatyczny stosunek do polityki. Dla niego ważne było to, czy może liczyć na Niemcy jako partnera w rozwiązywaniu problemów międzynarodowych. Oczekiwał nawet, że Niemcy staną się inicjatorem i motorem rosnącej aktywności Europy w świecie. Od determinacji i skuteczności kanclerz Merkel zależało – zdaniem Waszyngtonu – na przykład to, czy Europa upora się z kryzysem gospodarczym, czy nie. Analitycy amerykańscy pisali wręcz, że Niemcom obecnie, w drugiej dekadzie XXI w., przypadła w Europie taka rola, jaką w ubiegłym stuleciu odgrywały Stany Zjednoczone. A zatem to potencjał i możliwości Niemiec stanowiły główne determinanty amerykańskiej polityki wobec Niemiec, a nie sentymenty historyczne.

Ale u kresy swej prezydentury nawet Obama uznał za zasadne odwołać się do doświadczeń z historii. Gdy w kwietniu 2016 r. przebywał w Niemczech, wykorzystał tę wizytę, aby skierować specjalne przesłanie do Unii Europejskiej, borykającej się z różnymi problemami i poddanej naciskom dezintegracyjnym. Amerykański prezydent oddał się refleksji historycznej, uzasadniając to następująco: „Perhaps you need an outsider, somebody who is not European, to remind you of the magnitude of what you have achieved from the ruins of the Second World War”. Następnie przypomniał o dewastujących Europę w ubiegłym stuleciu skutkach rywalizacji, nietolerancji i skrajnego nacjonalizmu. Apelowal o wysiłek integracyjny, scalający różne grupy etniczne i wyznaniowe, w tym muzułmanów. Przestrzegał przed powtórką z historii, przed wzajemnym separowaniem się, przed rosnącym w siłę populizmem i pogłębiającym się zwątpieniem. Podkreślał, że „silna i zjednoczona Europa jest ważna dla porządku światowego”, że bez mocno zespolonej Unii Europejskiej jej amerykański partner nie rozwiąże problemów globalnych<sup>35</sup>.

---

<sup>35</sup> Remarks by President Obama in Address to the People of Europe, 25.04.2016, [www.whitehouse.gov/the-press-office/2016/04/25/remarks-president-obama-address-people-europe](http://www.whitehouse.gov/the-press-office/2016/04/25/remarks-president-obama-address-people-europe).

Fakt, że ten niezwykle mocny apel o utrzymanie silnej i zwartej Europy poparty był argumentem historycznym, miał swoje znaczenie. Obama zwracał się z nim w sytuacji, gdy tak wielu mieszkańców Unii Europejskiej nie znało innej rzeczywistości niż ta wspólnotowa i trudno było jej sobie wyobrazić zgubne konsekwencje Europy zdeintegrowanej. Dobrze, że ktoś tak nadal popularny w Europie jak Obama, im o tym przypominał. To, że przesłanie amerykańskiego prezydenta kierowano z Niemiec, dowodziło z kolei wielkiej odpowiedzialności tego państwa za przyszłość projektu europejskiego. Była to odpowiedzialność nie tylko najsilniejszego państwa członkowskiego UE, ale przede wszystkim najbardziej winnego niegdysiejszego dramatu Europy.

Trudno dziś przewidzieć zarówno to, jak potoczą się losy Europy, jak i przyszłość relacji amerykańsko-niemieckich i czy będzie im towarzyszyć refleksja historyczna. Wiele wskazuje na to, że o bliskich związkach Ameryki z Niemcami decydować będą przede wszystkim względy pragmatyczne, a nie doświadczenia historyczne czy sentymenty. To naturalny efekt mijającego czasu i zmian generacyjnych. Dobrze byłoby jednak, gdyby pamięć historyczna i więzi emocjonalne pozostały ważnym spoiwem wzajemnych stosunków, dając motywację do działania i zapewniając swego rodzaju *memento*. Odnosi się to tak samo do Niemców, jak i Amerykanów. Niemcy – z oczywistych względów - nie powinni uciekać od refleksji historycznej. Amerykanie zaś stoją przed jednym z najważniejszych wyborów w ostatnich czasach, przesądzających – być może – o ich roli w świecie, a o stosunkach z Europą/Niemcami - na pewno. Powinni więc pamiętać o zgubnych dla samych Stanów Zjednoczonych oraz Europy i świata skutkach amerykańskiego izolacjonizmu.